



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

---

**Dziewice  
konsystorskie**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI<sup>1</sup>

## *Dziewice konsystorskie*

### OD AUTORA

Oto garść felietonów drukowanych w „Kurierze Porannym”. Felietony te narobiły hałasu; zyskały mi sporo wyrazów sympatii i nie mniej oburzeń. Wiele osób dopatrywało się w nich głębokiej intencji; chciało w nich widzieć celowe posunięcie, inspirowane — oczywiście — przez „masonów”. Mój Boże! kiedy się wie, jak coś było naprawdę, a potem słyszy osnute dokoła faktu komentarze, mimo woli człowiek musi się uśmiechnąć i zadumać nad kruchością „wiedzy historycznej”. Powiem tedy całkiem po prostu, jak powstały te felietony. Na chwilę nim zacząłem je pisać, byłem, można powiedzieć, o sto mil od ich tematu; nie wiedziałem ani o wiszącym procesie wileńskim ks. Jastrzębskiego, ani o toku prac Komisji Kodyfikacyjnej w tej mierze; wszystko to po prostu nie istniało dla mnie. Pogrążony byłem całkiem w czym innym, w rzeczach czysto literackich. Ale, z obowiązku recenzenta, poszedłem na rosyjską sztukę Katajewa, do teatru *Ateneum* przy Związku Kolejarzy. Szedłem z zaciekawieniem; raz dlatego, że z sympatią śledzę losy tego młodego teatru, świadczącego o żywotności kulturalnej naszego ruchu robotniczego, a po wtóre przez wzgląd na pochodzenie sztuki:

Zważmy (pisałem na wstępie do mojej recenzji), że Rosja sowiecka jest na olbrzymią skalę podjętym eksperymentem, próbą zmazania jednym zamachem tradycji, kultury, narowów<sup>2</sup> myślowych, wszystkiego, aby wprowadzić formy odpowiadające jakoby potrzebom dzisiejszym i powszechnym. Jak wygląda ten eksperyment, jakie są jego wyniki, nie na papierze, ani w sferze doktryny czy ideału, ale w codziennym życiu — oto rzecz, która musi interesować wszystkich. Otóż o tym najtrudniej się dowiedzieć. Bo skąd? Nie z gazet, bo gazety są po to, aby nas obelgiwać. Nie z wrażeń podróży, bo te zawisłe są od uprzedzeń podróżnika, od jego zmysłu orientacji, od tego wreszcie, co mu zechcą pokazać. Życia, zwykłego życia on nie zobaczy. Może tedy teatr, nie propagandowy, ale domowy, pisany dla siebie, ukazałby nam trochę tej rzeczywistości?

Sztuka osnuta jest dokoła spraw małżeńskich. Dwie „zarejestrowane” pary okazują się niedobrane; sympatie czworga młodych — zamieszkałych w jednym pokoju — ciągną ku sobie na krzyż:

Mimo że sytuacja jest jasna już z początkiem drugiego aktu, autor prowadzi ją przez szereg zawikłań, aż wreszcie brodaty komisarz rozcina sprawę, kojarząc na krzyż kochające się pary i mówiąc dobrodusznie: „No, kochajcie się, i starajcie się nie robić głupstw... przynajmniej przez jakiś czas: od tego republika sowiecka nie zginie”.

...Mimo woli zastanawiamy się, jakby podobna sytuacja wyglądała u nas. Dawniej, byłaby w ogóle bez wyjścia. Gdyby miłość była serio, może by sobie ktoś w łeb strzelił, albo by się utopił, w najlepszym razie byłoby czworo osób nieszczęśliwych.

<sup>1</sup>Tadeusz Boy-Żeleński — na stronie tytułowej jako autor figuruje: Boy-Mędzrec (zob. T. Boy-Żeleński, *W Sorbonie i gdzie indziej, rozdział Zakończenie*). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>narów — tu: zły nawyk. [przypis edytorski]

A dziś? Dziś rozwiązanie jest u nas trojaki. Jeżeli małżonkowie nie mają pieniędzy, wówczas w ogóle są poza prawem, nie mają u nas prawa do niczego. Nie ma dla nich żadnego godziwego rozwiązania sytuacji.

Jeżeli mają pieniądze na opłacenie adwokatów i kosztów, mogą, przy zmianie religii, przeprowadzić rozwody i „zarejestrować” się na nowo.

Jeżeli mają dużo pieniędzy, w takim razie mogą sobie oszczędzić zmiany religii. Wówczas, przy pomocy paru fałszywych świadków i fałszywych zeznań, popartych w potrzebie krzywoprzysięstwem za cichą zgodą organizatorów tej komedyjki, mogą po kilku latach mozołów uzyskać szczęśliwe unieważnienie małżeństwa.

Nie sądzę zatem, abyśmy pod tym względem mieli prawo tak bardzo wynosić się nad zdziczenie Bolszewii. W żadnym z naszych obyczajów nie występuje tak ostro nierówność wobec prawa zależna od stanu majątkowego; nigdzie nie jest jaskrawsze publiczne igranie z rzeczami uchodzącymi za święte.

Ale, z drugiej strony, nie bądźmy zbyt pochopni w uznaniu dla stosunków sowieckich... Na to eksperyment jest za świeży. Jeszcze ani jedno pokolenie nie zestarzało się w tych formach. Te dwie pary młodych ludzi, to jeszcze żaden przykład. Trzeba by ich widzieć na dłuższej przestrzeni czasu, trzeba wiedzieć zwłaszcza, co się dzieje z kobietą po kilkunastu latach takich „rejestracji”. Boć, ostatecznie, rygory prawa małżeńskiego są w znacznej mierze nie czym innym, tylko ochroną dziecka i ochroną kobiety. O tym ta *Kwadratura koła* nic nam nie mówi.

...Jak się przedstawiać będzie to życie, gdy minie młodość, która wszędzie i zawsze żyje dość po bolszewicku? Czym żyć w tej niezamiecionej brudnej izbie, do której, na pociechę, radio przynosi melodie tanga z Berlina? Czy powtarzaniem strzępów nieprzetrawionej socjologii, z której sam autor sobie podrwiwa? Bądź co bądź, jedną z zalet osławionego kapitalizmu jest to, że pozostawia bodaj możliwość, bodaj złudzenie tworzenia swego osobistego życia... Czym będą żyć ci ludzie później, nie bardzo widzimy. No, i trudno nam zapomnieć o innych zatrudnieniach tego komisarza, poza błogosławieniem parotygodniowych małżeństw.

Mimo iż w ramach recenzji teatralnej<sup>3</sup> nie uważałem za potrzebne strzelać ciężkimi armatami do mariażów bolszewickich, nikt mnie chyba nie posądzi, abym je uważał za rozwiązanie kwestii. Ale równocześnie, naturalnym refleksem, myśl moja zwróciła się ku temu w czym *my* żyjemy, jak się u *nas* przedstawiają te sprawy. Uczulem wyraźnie, że coś tu jest absolutnie nie w porządku. Listy, które zacząłem otrzymywać, utwierdziły mnie w tym przekonaniu. Takie jest istotne pochodzenie moich felietonów, które są niejako obszerną „niedyskrecją teatralną” na marginesie premiery w Domu Kolejarzy.

Polemizując ze mną, przeciwnicy uczynili mnie jakimś namiętnym propagatorem rozwodów. Zupełnie niesłusznie. Życzę ludziom, aby jak najmniej potrzebowali się uciekać do tego środka. Co innego jest propagować coś, a co innego widzieć, że coś jest faktem, że coś się dzieje i *jak się dzieje*; widzieć nierówność, widzieć krzywdę, widzieć nieszczęście, widzieć fałsz, nieuczciwość, widzieć bezduszość, zaciekłość i ślepotę tych, którzy powinni mieć „oczy ku patrzeniu i uszy ku słyszeniu”. Mówić o tym — w potrzebie nawet krzyżeć — jest obowiązkiem pisarza. Bo literatura jest sejmem narodu; ważniejszym może od tego, który tam w zacisznym półkolu wymyśla sobie wzajem przy ulicy Wiejskiej. Przez nią uświadamiają się potrzeby i zjawiska chwili; przez nią przychodzą do głosu żądania i krzywdy ludzkie. Pisarz, który by wciąż nie przykładał ucha do ziemi, aby wyczuwać jej tajemne drżenie, aby nadłuchiwać tętentu przyszłości, źle spełniałby swoje zadanie. I nie powinien w żadnym wypadku liczyć się z głosami oburzeń — choćby skądinąd szanownymi — nawet kiedy chodzi o tak zwaną *moralność*, o tak zwany *porządek społeczny*. Popatrzmy na historię instytucji i wierzeń ludzkich. Trzeba by chyba być ślepym lub kłamcą, aby nie uznać, że porządek społeczny, że „moralność”, to

Artysta, Literat,  
Sprawiedliwość, Obyczaje  
Polityka

<sup>3</sup>Mimo iż w ramach recenzji teatralnej nie uważałem za potrzebne strzelać ciężkimi armatami do mariażów bolszewickich — *Flirt z Melpomeną, Wieczór ósmy*. [przypis autorski]

coś, co zmienia się i musi zmieniać ciągle; coś, co przechodzi ciągłą ewolucję. Dzisiejszy bunt jest jutrzejszym prawem; dzisiejsze bluźnierstwo jutrzejszym komunalem. W imię porządku społecznego palono na stosie ludzi, których dziś wysła się jako media na kongresy metapsychiczne. Mordowano się w imię Boga o wierzenia, które zgodnie dziś żyją obok siebie. Był czas, gdy torturowano obwinionych, aby wydobyć z nich zeznania. Był czas, gdy trzymano obłąkanych w lochu i w kajdanach. Był czas więzienia za długi, kiedy niewypłacalnego dłużnika więziono dożywotnio i żywiono na koszt państwa. Wszystko to, i wiele innych równie pięknych rzeczy było *porządkiem społecznym*; ktokolwiek przeciw nim działał, był wrogiem porządku społecznego. Czy wyobraża kto sobie, że wiele z dzisiejszych „porządków” nie będzie się przedstawiać naszym wnukom tak samo, jak nam tamte dziwołagi; że nie będą się nam dziwili, że nie będą się litowali nad nami? Powiada Goethe w *Fauście*:

*Es erben sich Gesetz und Rechte  
Wie eine ew'ge Krankheit fort!*

Ciągła wojna z przeżytkami wczorajszych pojęć, wczorajszych potrzeb, wczorajszych obyczajów, to najważniejsze pozycje walki o szczęście ludzkości. W tej walce pisarze zawsze szli na czele; oni są przyrodzonym instrumentem wyczuwania jutra, wyczuwania okrucieństwa czy komizmu konfliktów między upartym i tępym *Wczoraj* a domagającym się życia *Dziś*. I można powiedzieć, że najpiękniejszym tytułem pisarza jest jego nieporozumienie z porządkiem społecznym. Mnie osobiście, jeżeli zdarza się mieć kiedy wyrzut sumienia, to że zanadto bywam z nim pogodzony...

A jakiej broni wolno używać pisarzowi w tej walce? Takiej, jaką mu jego temperament, jego rodzaj talentu wskazuje. Kiedyś półzartem złożyłem moje credo, odpowiadając na jakiś atak hipokryzji: „Igrać z najbardziej uświęconymi pojęciami, z najbardziej czciogodnymi uczuciami, próbować ich siły i szczerości, rozkładać je odczynnikami śmiechu, prowokować obłudne oburzenia, demaskujące dyskusje, wpuszczać powietrze, ośmielać do myślenia, izby, pośród walących się bałwanów, zostało to, co naprawdę jest szanowne, oto zadanie, które chciałbym spełniać wedle sił moich”.

Mógłbym się tu powołać na iluż i jakże wielkich poprzedników... Ale, mój Boże, po co przyzywać nadaremno zbyt wielkie imiona! Nie jestem tak naiwny, aby porównywać te nasze lokalne utarczki z ich bohaterskimi walkami o przyszłość ludzkości. To wszystko, o czym my tu mówimy, to jest wybijanie dawno otwartych drzwi; to są walki o rzeczy dawno w świecie załatwione. Ale cóż; każdy żyje u siebie; cóż nam z tego, że te rzeczy są załatwione *gdzie indziej*, jeśli nie są załatwione *u nas*; co nam z tego, choćbyśmy ideowo uporali się z nimi dawno, jeżeli w praktyce ludzie od nich cierpią, duszą się i giną... I nie tylko ludzie, ale uczciwość, ale moralność: ta prawdziwa, wieczna, a nie ta, którą handlują w swoich kramikach dzierzawcy jej monopolu. Nie zapominajmy, że nawet Chrystus wypędził przekupniów ze świątyni. I trzeba to powiedzieć: przemoc Świątoszka w odrodzonej Polsce zaczyna być zastraszająca. Bardzo być może, że ta walka o praworządność, o uczciwość, o *dzisiejszość* w jednej dziedzinie, jest tylko epizodem wielkiej rozgrywki, która nas czeka na progu nowego naszego życia. Któż wie zresztą, co nas czeka? Życie gna dziś tak zawrotnym pędem...

## BIEDNE PRABABKI

Przepraszam, że będę mówił o rzeczach bardzo banalnych; ale niedole życia wynikają głównie z rzeczy banalnych źle załatwionych; z rzeczy, o których się nie mówi. Będę więc mówił naiwnie, tak jakbym odkrywał Amerykę. Mam zresztą pewien barometr żywotności dla kwestii, które zdarzy mi się potrącić; mianowicie listy nieznanomych czytelników. Otóż kiedy przypadkowo poruszyłem, z okazji rosyjskiej premiery (*Kwadratura koła*), sprawę małżeństwa i rozwodów, z oddźwięku, jaki znalazłem u czytelników, zrozumiałem, jak piekącej dotknąłem bolączki. Może więc warto powiedzieć o tych rzeczach kilka słów mniej wzniosłych a bardziej prawdziwych, niż się mówi zazwyczaj.

W jednym z listów, jakie dostałem, uderzył mnie pewien rys — też zapewne banalny, ale który mnie zainteresował. Chodzi o normalny prawie tok kościelnego unieważniania

Kondycja ludzka, Literat

Polska

Świątoszek

Przysięga, Grzech,  
Spowiedź

małżeństw za pomocą fałszywych świadectw i krzywoprzysięstwa. „Co do tych krzywoprzysięstw (pisze mi ktoś z kresów), to mówił mi jeden adwokat, iż nawet jest tak utarte, że świadek krzywoprzysięga, a później tenże ksiądz spowiada go i rozgrzesza, nakazując przy tym odpowiednie zadośćuczynienie, tj. pokutę...”

Istotnie, kombinacja, o której sam Pascal nie pomyślał w swoich *Prowincjałkach*. Ale nie przypuszczam, aby to było tak powszechne. Zazwyczaj — przy wielkim aparacie — rzecz odbywa się delikatniej: świadka naprowadza się na to, co potrzeba, aby zaprzysiągł; kto inny konferuje ze świadkiem, kto inny odbiera przysięgę, może więc ją przyjąć z dobrą wiarą lub przynajmniej nie wchodząc w to bliżej; od kogo innego świadek dostaje pieniądze (o ile nie świadczy z przyjaźni lub z ludzkiego współczucia), sprawę zaś zbawienia duszy świadka zostawia się zwykle jego własnej trosce. Jeżeli chce, może się wypowiadać; grzech się zmaże, a rozwód został.

Umyślnie mówię „rozwód”; mimo iż wiadomo, że rozwodu w Kościele katolickim nie ma, głos ludu nigdy inaczej nie mówi tylko „rozwód”. I w rezultacie, ma rację. Po prostu, skoro w małżeństwie jest żądanie rozwodu, szuka się nieformalności celem unieważnienia małżeństwa; nie kijem, to pałką, dla pacjenta wszystko jedno, jak się nazywa. Różnica jest ta, że gdy *rozwód* jest w zasadzie rzeczą rzetelną i poważną, *unieważnienie* bywa najczęściej dość gorszą komedyjką.

Znałem blisko pewnego kanonika-filozofa, który mawiał, że najlepiej już przy ślubie dać w łapę zakrystianowi, aby popełnił jaką nieformalność, zapalił o jedną świeczkę mniej niż trzeba, czy coś podobnego, a w potrzebie można mieć za to unieważnienie małżeństwa. Tenże kanonik mawiał, iż akta takich spraw mają to do siebie, że każda kartka powinna być przekładana grubym banknotem.

Ach, gdyby tak móc zajrzeć do tych aktów, co za cuda by się tam znalazło, co za materiał dla komediopisarza. Na przykład świadectwa lekarskie niezdolności „skonsumowania” małżeństwa, wystawiane kobietom, które żyły parę lat z mężem i miały kilku zdrowych kochanków. Bo każdy, kto się w jakikolwiek sposób zetknie ze sprawą „unieważnienia”, musi kłamać.

Jak w tylu sprawach obyczajowych, tak i tu wojna stała się przełomem. Zamęt, jaki nastąpił w stosunkach ludzkich przez masowe rozłączenia, przez zmianę warunków, pojęć, nastrojów, wymagał regulowania tych spraw również niemal masowego. Znalaziono jedyną wyście w gromadnych zmianach religii. To, co dawniej było wyjątkiem, stało się rzeczą potoczną; nikt się nie wahał. Wśród kłopotów i trudności, jakie pociągała sprawa rozwodowa, zmiana religii odgrywała najmniejszą rolę: symptom niewątpliwie poważny! Wędrówka ta od jednej religii do drugiej była tak powszechna, że ambitni pastory protestanccy — nie chcąc widzieć, że owieczki, które im przybywają niespodziewanie, mogą być już w drugim pokoleniu wcale rzetelną zdobyczą — uważali sobie za ujmę pomnażanie reformowanego kościoła takim materiałem i branie udziału w komedii „nawrócenia”; trzeba było wyszukiwać gminy, gdzie pastor był pobłażliwszy na tym punkcie. Wyrobiły się specjalne miejscowości, okręgi, znane z tego, że tam można się wślizgnąć na łono kościoła reformowanego.

Chaos, jaki to wytwarza w pojęciach religijnych, jest znaczny, zwłaszcza u kobiet. Przytoczę jeden przykład. Jedna z takich rozwodniczek, aktorka, musiała przejść na protestantyzm dla uzyskania rozwodu. Przed tak ważnym aktem poszła oczywiście do kościoła i spłakała się. Później musiała chodzić na nauki pastora; wreszcie przyszedł uroczysty dzień zmiany wyznania. Pastor mówił tak pięknie, tak podniosłe, że wrażliwa artystka znowu się spłakała. Jeszcze z wilgotnymi oczyma spotyka znajomego na ulicy; opowiada mu swoją przygodę. „No i cóż, teraz już pani nie będzie chodziła do dawnego kościoła, tylko do *ich* kościoła? — Ależ nie, odpowiada, przeproszę Matkę Boską i będę chodziła po dawnemu”.

Niewątpliwie, wolę takie pomieszanie pojęć od ich dawnej precyzji, która sprawiała, że ludzie wzajem palili się na stosach; ale z punktu widzenia religii — jakiegokolwiek — nie może to być pożądanym. Najuroczystsze akty życia stają się formalistyką i komedią, boć i rola kapłana, który w niej bierze udział, bywa dość dziwna...

Rzecz prosta, że Kościół katolicki nie mógł patrzeć obojętnie na te objawy; rozumiał, że niepodobna stać na dawnym nieprzejednanym stanowisku. Nowa — mimowolna — ofensywa protestantyzmu na Polskę mogła się stać groźniejsza od owej z czasów refor-

Obyczaje, Religia, Ślub

Religia, Rozstanie

macji... Dla zatrzymania uciekających, rozszerzono znakomicie możliwość katolickiego rozwodu, czyli unieważnienia małżeństwa. Już nie w dalekim i luksusowym Rzymie, ale na miejscu toczą się procesy, liczba ich mnoży się, jest tendencja, aby raczej ułatwiać niż utrudniać. (Z największymi trudnościami spotyka się arystokracja, ponieważ wiadomo jest, że, przez cześć dla tradycji, zmienia wiarę jedynie w ostateczności, więc można ją pocisnąć bez obawy.) Już nie czysto formalne motywy, jak np. nieprawidłowość w ogłoszeniu zapowiedzi, etc., ale przyczyny natury bardziej ludzkiej zaczynają wchodzić w grę. Rozmawiałem kiedyś z poważnym adwokatem z Poznańskiego; ze zdziwieniem dowiedziałem się, jak daleko się posunęło; na przykład stwierdzenie, że małżeństwo zostało zawarte bez miłości, może wystarczyć do kościelnego unieważnienia. Jeżeli na przykład znajdzie się list, w którym panna pisała do swej przyjaciółki coś w tym rodzaju: „Droga Maniu, wychodzę za mąż; nie mogę powiedzieć, bym kochała mego przyszłego, ale rodzice namawiają mnie, abym za niego wyszła, że to dobra partia, porządny człowiek” etc... wówczas przedstawienie takiego listu może być punktem do unieważnienia małżeństwa, choćby były dzieci. Słowem, klasyczne „małżeństwo z rozsądku”, z posłuszeństwa, jest — nieważne, i może być w każdej chwili kościelnie unieważnione!... To istna rewolucja! Oto przykład, jak wiele się zmienia w rzeczach, które pozornie są niezmiennie i niewzruszone.

Jedno się tylko nie zmienia, mianowicie to, że — jak w owym znanym określeniu prowadzenia wojny — trzeba tu pieniędzy, pieniędzy, i jeszcze pieniędzy; no i że zwykle znów zachodzi potrzeba... pomocy ludzkiej w przeprowadzeniu dowodu. Co innego fakty, a co innego udowodnienie ich. Czyż można wątpić, że *ad usum* procesu rozwodowego będą się mnożyć antydatowane listy do przyjaciółek? Czy można przypuszczać, że przyjaciółka będzie tak bez serca, aby, w razie potrzeby (dziś tobie, jutro mnie), nie stwierdziła tego i owego przysięgą, zwłaszcza jeżeli na miejscu otrzyma rozgrzeszenie?...

Stosunki zatem dążą do pewnej ludzkości: wojewodzina Amelia z *Mazepy* mogłaby dziś otrzymać kościelne unieważnienie małżeństwa, przedstawivszy odpowiedni list do przyjaciółki, no i mogłaby nawet wyjść szczęśliwie za swego pasierba. O trzy trupy mniej; czysty zysk dla życia, strata dla teatru. Ale każdy też przyzna, że ma to i słabe strony. Opieranie tak poważnej, a coraz częstszej sprawy na formalistyce i fałszu, z drugiej zaś stwarzanie jaskrawej nierówności w prawach wobec sakramentu, nie jest ideałem. Bo nierówność ta akcentuje się dziś tym więcej przez większe zbliżenie i rozpowszechnienie sprawy: dawniej rozwód katolicki był rzadki, odbywał się przeważnie w tak wysokich sferach, że chudopachołkowi nie przyszło na myśl przymierzać go do siebie; obecnie rzecz układa się tak, że najbogatsi mogą zostać przy wierze ojców, średniaczki muszą zmienić wiarę (bo taniej i prędzej), a biedacy mogą sobie żyć „na wiarę”. Trzy klasy, jak na kolei żelaznej.

I może trzeba odkryć wreszcie tę Amerykę: w debatach, które się toczą na temat rozwodów, świętoszki bronią „nierozzerwalności małżeństwa”; ależ o tej nierozzerwalności dawno już mowy nie ma; może tedy chodzić jedynie o utrzymanie przywileju rozwodu dla bogatych. W sto kilkadziesiąt lat po zrównaniu ludzi w prawach świeckich, tak jaskrawa nierówność jest trochę rażąca, zwłaszcza w religii, którą przyniesiono na świat głównie dla ubogich.

Ale wyznaję, że najbardziej wstrząsnęło mnie co innego. Ludzie żywi zawsze sobie jakoś dadzą radę, mogą się bronić, walczyć, szamotać. Pomyślałem o tych, których już nie ma, których życie się skończyło; o tych niezliczonych naszych babkach i prababkach, które wszak wszystkie wychodziły za mąż z namowy lub rozkazu rodziców, w zbożnym posłuszeństwie, ani śmiejąc pytać swego serca o zdanie. Myślały bidulki, że Bóg wie jakie zasługi sobie zaskarbia, tymczasem dziś okazuje się, że wszystkie te małżeństwa były wobec Kościoła nieważne, że dziś, gdyby babule dożyły, mogłyby te ich związki być unieważnione; a wszak unieważnienie nie jest niczym innym, niż stwierdzeniem nieważności. Tyle łez ludzkich, tyle zmarnowanych egzystencji, tyle złamanych serc, zdławionych pragnień, i wszystko na darmo, dla nikogo, dla niczego. Biedne babuleńki! I jeszcze inna, straszniejsza myśl: jeżeli te małżeństwa z posłuszeństwa były nieważne — a wszak inaczej prawie ich nie zawierano — w takim razie my wszyscy jesteśmy bękartami, i to do szczęścianu, z pokolenia na pokolenie. Ładnych rzeczy dowiaduje się Polska na swoją dziesiątą rocznicę!

Teatr

Walka klas, Pozycja społeczna

Małżeństwo, Ślub, Obyczaje

## ROZERWALNA NIEROZERWALNOŚĆ

Jak było do przewidzenia, zaatakował mnie *Polak-Katolik* z powodu mojego artykułu pt. *Biedne prababki*, poruszającego sprawę techniki unieważniania małżeństw. Ale dziwnie to miękki atak jak na tak doniosłą sprawę!

*Polak-Katolik* pisze:

P. Boy-mędrzec w „Kurierze Porannym” uprawia zawodową propagandę rozwodów. Operując anegdotami, stara się wmówić w czytelników, że Kościół katolicki, aczkolwiek nie uznaje rozwodów, to jednakże toleruje je pod firmą unieważnienia małżeństw pod byle pozorem. Wystarczyć może czasem list do przyjaciółki, świadczący, że narzeczona nie kochała swego przysłego męża. Dzieć się mają również i nadużycia, przekupstwa i krzywoprzysięstwa świadków.

Jak się w istocie zapatruje Kościół na sprawę rozwodów, pana Boya nic nie obchodzi; woli przytaczać anegdoty z mętnego źródła... A pisze się to wszystko jedynie w celu skompromitowania nieprzejednanego stanowiska Kościoła w sprawie rozwodów i małżeństw cywilnych, i pouczenia wątpiących, że rozwody to rzekoma konieczność życiowa i sprawiedliwość społeczno-moralna...

P. Boy-mędrzec i jemu podobni mędrzy Syjonu i spod znaków masonskich chcą Polskę przerobić na swoją modłę, a podstawę moralności ludzkiej zwalczają bronią niewybredną: plotką i oszczerstwem.

*Polak-Katolik* się myli. Bardzo mnie obchodzi, jak się Kościół na sprawę rozwodów zapatruje. I właśnie dlatego uderza mnie, jak daleko codzienna praktyka od tych zapartywań odbiega. A co do „nieprzejednanego stanowiska”, to pozwolę sobie dodać małe uzupełnienie praktyczne, mianowicie: nieprzejednanego dla biedaków.

*Polaku-Katoliku!* i ja jestem Polak i Katolik. Mówmy jak swój do swego, przymrużywszy lewe oko: kogo wy chcecie tumanić? Co to znaczy: „anegdoty z mętnego źródła”? Czy my jesteśmy ślepi? Czy nie widzimy, co się dzieje naokoło? Czy każdy z nas nie ma tuzina znajomych rozwiezionych? Czy nie wiemy, jak i po czemu<sup>4</sup>? Czy o tych rzeczach głośno się nie mówi? Czy nie znamy np. z imienia i nazwiska ojca czworga dorosłych dzieci, który otrzymał unieważnienie małżeństwa, i czy nie wiemy ściśle, ile to kosztowało? Czy nie dyskutuje się techniki rozwodów, procedury fałszywych świadków etc.? Ale co tu gadać! skoro *Polaka-Katolika* tak rażą moje „plotki”, niechże posłucha, jak o tych rzeczach mówi się potocznie w organie augurów<sup>5</sup>, w piśmie, na którego szpaltach raz po raz cywilni kaznodzieje grzmią o nierozzerwalności małżeństwa. Oto jeden z czytelników przysłał mi wycinek z „Kuriera Warszawskiego” z dn. 12.XI.1926, który zachował na wieczną pamiątkę. Pisze „Kurier Warszawski”, donosząc o zaręczynach słynnego Marcconiego:

Na przeszkodzie małżeństwu stoi na razie fakt, że Marconi nie ma dotychczas rozwodu z pierwszą żoną. Jak wiadomo, rozwód we Włoszech (!) nie istnieje, przeto Marconi zwrócił się do Watykanu o unieważnienie małżeństwa. Prawdopodobnie wobec wysokich wpływów narzeczonej (ojciec jej należy do gwardii papieskiej) prośba zostanie uwzględniona. Ślub zapowiadają na wiosnę.

Oto z jakiego tonu gadają augurowie, skoro zapomną usiąść na trójnogu. I to jest ton właściwy; tak się o tych rzeczach na co dzień mówi i tak się one dzieją. Można powiedzieć wręcz: *każde małżeństwo może być unieważnione*; z czego szatan, który jest piekielny logik, mógłby wyciągnąć wniosek, że wszystkie są nieważne... Każde małżeństwo może być unieważnione; pozytywny warunek jest tylko jeden: *cenzus majątkowy*, bo oczywiście

<sup>4</sup>po czemu — tu: za ile, za jakie pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>augur — kapłan w starożytnym Rzymie, wieszcz, który wyczytywał wróżby z lotu ptaków; tu w znaczeniu: człowiek narzucający swoje zdanie innym z pozycji autorytetu, podający się lub uważany za autorytet. [przypis edytorski]

nie każdy ma szczęście być córką papieskiego gwardzisty. Choć i w Warszawie znają siostrzenicę rektora rzymskiego kolegium, która odwrotną pocztą otrzymała unieważnienie małżeństwa.

A jak się to dzieje w codziennej praktyce, czyż ja mam opowiadać *Polakowi-Katolikowi*? Raczej od niego mógłbym się wiele dowiedzieć... Zatem, skoro ktoś ma odpowiednie środki finansowe (z biedakiem w ogóle się nie gada), oddają go w ręce specjalistów; ci badają jego wypadek, z której strony rzecz zahaczyć. Drogi są najrozmaitsze; są nawet okresy, w których pewne środki modniejsze są od innych. Niedawno pewna hrabina otrzymała unieważnienie małżeństwa, ponieważ miała wspomnieć jakiejś przyjaciółce, że nie chciałaby mieć dzieci. Którejż młodej kobiecie, dziś, w epoce szczupłych talii, nie zdarzy się wspomnieć czegoś podobnego? — chodzi tylko o świadków, a na szczęście „nie brak świadków na tym świecie”, jak już zauważył Fredro, zwłaszcza jeśli grozi im w najgorszym razie lekka pokuta kościelna. W innym znowu wypadku, inna droga okaże się lepszą. Znam — jak wspomniałem — wypadek świadectwa lekarskiego niezdolności do „skonsumowania” małżeństwa, wystawionego ślicznej pani po to, aby natychmiast zawarła drugie małżeństwo, które skonsumowała niczym kanapkę z kawiozem. Znam unieważnienie małżeństwa z powodu takiejże niezdolności „skonsumowania”, udzielone... matce dwojga dzieci z tymże właśnie małżonkiem. *Polaku-Katoliku!* ja jestem, a przynajmniej byłem, lekarzem; i w tym charakterze wiem niejedno: lekarze mówią dość szczerze między sobą. Ale wystarczy po prostu widzieć i słyszeć, co się naokoło dzieje. Byłem świadkiem w miejscu kąpielowym, jak przy bridżu<sup>6</sup> ksiądz, i nie byle jaki, dowiedziawszy się, że jego świeżo poznana partnerka zamierza się rozwodzić, ofiarował jej swoją pomoc i umówił z nią konferencję celem wtajemniczenia jej w najlepsze sposoby. Wszystko bardzo na wesoło, w tonie rozgrywki bridżowej.

Wszystko to idzie jak z płatka; ma — jak powtarzam — tylko jedną ujemną stronę: jest diablo drogie. I stąd wynika paradoks, który, sędzę, jest specjalnością naszego kraju. Niech *Polak-Katolik* sporządzi sobie listę współpracowników naszych pism bogobojnych, klerykalnych, prawicowych, czy jak je nazywają: niech się przekona, wśród<sup>7</sup> tych, którzy najdzielniej szermują zawodowym piórem w obronie katolicyzmu i nierozzerwalności małżeństwa, *ilu jest ewangelików*; zmienili wiarę dla celów rozwodowych.

Chcesz, *Polaku-Katoliku*, „anegdotek”? Opowiem ci jeszcze jedną: mam ją wprost od kobiety, która ją nader boleśnie przeżyła. Młodą osobę, pragnącą rozwodu, zwrócono do konsystorskiego adwokata, znanego i szanowanego prawnika. Ten oznajmił jej, że trzeba się będzie udać do zaufanego lekarza, który, za pomocą niewielkiej operacji, stworzy jej sztuczne dziewictwo, które znów świadkowie stwierdzą i przed konsystorzem zaprzysięgną. Kiedy młoda kobieta, zawstydzona i zgorszona, wahała się, konsystorski adwokat powiedział jej, że trzeba się zdecydować i że lepszy taki sposób, niż gubić duszę przejściem na protestantyzm. Klientka podziękowała i... przeszła na protestantyzm.

Cóż rozpusta obludy! Konsystorz posłał do adwokata, adwokat do lekarza, lekarz sprowadza świadków, którzy świadczą przed konsystorzem. Dosłownie *circulus vitiosus*<sup>8</sup>, bardzo vitiosus...

Nie, *Polaku-Katoliku!* na nic się nie zda nazywać oszczerstwami faktów, o których wróble na dachach świergocą<sup>9</sup>. Gdyby ci, którzy wiedzą, zechcieli mówić, włosy by wam na głowie powstały. Nie, nie mogą najpoważniejsze i coraz częstsze sprawy w życiu opierać się wyłącznie na fałszu i świętokradztwie. Kto broni tego stanu rzeczy, kto śmie go nazwać — jak *Polak-Katolik* — „podstawą moralności ludzkiej” — ten jest wrogiem religii.

Kościół katolicki jest wielki i potężny, ja jestem tylko skromny mędrzec. Ale powiem oto rzecz godną uwagi: Jedno z największych przesileni, jakie Kościół od czasu swego istnienia przeżył, wynikło z handlu odpustami; otóż czeka niechybnie Kościół jeszcze jedno ciężkie przejście, mianowicie z powodu handlu rozwodami. Bo wszelki handel ma to do siebie, że podlega nieubłaganym prawom wolnej konkurencji handlowej.

W końcu ostatnie wyjaśnienie: *nie jestem masonem*. Była chwila, że miałem ochotę nim zostać; tak mnie szarpano z prawa i z lewa, że myślałem sobie, iż trzeba do kogoś

<sup>6</sup>bridż — dziś raczej: brydż. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>wśród — dziś: wśród. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*circulus vitiosus* (łac.) — błędne koło. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>świergocą — dziś częściej: świergoczą. [przypis edytorski]

Obyczaj, Religia

Handel



należec, gdzieś głowę skłonić. Ale ani rusz nie mogłem trafić do miejsca, gdzie się wstępuje na masona. Dowiedziałem się o tym dopiero niedawno w Paryżu, skąd wróciłem uzbrojony w poważne rekomendacje francuskiej loży: i nasze masony nie chciały mnie za swego! Nie jestem dla nich dość poważny; u masonów, jak w *Bracie marnotrawnym* Wilde'a, też trzeba mieć na imię Ernest... To zatem, co mówię, mówię jedynie z własnej potrzeby: chciałbym, aby w stosunkach ludzkich, w odrodzonej Polsce, było trochę mniej nierówności, trochę mniej ucisku, trochę mniej kłamstwa i obłudy. Czyżby te ideały były *Polakowi-Katolikowi* tak nienawistne?

## MĘDRZEC MÓWI:

Poza niezręcznym jak zawsze *Polakiem-Katolikiem*, i poza niewiarygodnym wręcz jako poziom artykułikiem w „Głosie Narodu”, o którym powiem osobno, nie odpowiedział na moje rozważania rozwodowe nikt. Istotnie, co można powiedzieć? — ani zaprzeczyć faktom, ani ich bronić! A liczne głosy, jakie mnie dochodzą, świadczą, jak sprawa była dojrzała. I nie bardzo widzę, aby się kto zgorszył! Najwyżej ten i ów powiada mi: „To wszystko pięknie, ale ty nie chcesz rozumieć, że Kościół znajduje się w bardzo trudnym i delikatnym położeniu. Nie ma sposobu ruszyć dogmatu nierozzerwalności małżeństwa; to mógłby zrobić chyba jaki sobór powszechny, a i to nie wiadomo! Z drugiej strony — fakty i konieczności życiowe, przemiany społeczne, z którymi Kościół musi się liczyć! Położenie jest bez wyjścia, a raczej jest tylko jedno: furtka »nieformalności« i unieważniania. Ładne to nie jest, i sam Kościół się tym martwi, ale co ma robić? Nie sztuka krytykować, znajdź coś, poradź coś, kiedyś taki mędrzec”.

Dobrze więc, niech nie będzie powiedziane, że mędrzec nic nie chce poradzić w tak ciężkiej potrzebie. Znow będę mówił po prostu i naiwnie, a może znajdę radę. Poszukam jej w zasadzie, którą mi dał ksiądz Wacław kapucyn, przeznacny człowiek i męczennik narodowy, kiedy mnie przygotowywał do pierwszej spowiedzi. „Moje dziecko, mówił mi, trzeba się zawsze w życiu rządzić uczciwością i prawdą”. I płakał; ten święty człowiek zaraz płakał. Otóż, trudno przypuścić, aby to, co obowiązywało małego berbecia, miało być nie obowiązujące jedynie w najważniejszych sprawach Kościoła, tyjących sakramentu.

Kościół nie zna *rozvodu*; wiem; ale uznaje i stosuje coraz częściej *unieważnienie małżeństwa*. Otóż, ta rama wydaje mi się dość szeroka, aby w nią uczciwość i prawda mogły się zmieścić. Dziś praktyka jest taka: dwoje ludzi, którzy, z takich czy innych powodów żyć z sobą nie chcą lub nie mogą, postanawiają się rozejść; idą do kapłanów z prośbą o pomoc i uzyskują (gdy mają odpowiednie fundusze) unieważnienie małżeństwa. Ale jak, na jakiej zasadzie? Kościół nie powiada: „to małżeństwo jest złe, jest nieszczęśliwe, jest gorszące, więc je rozwiązujemy”; ale sięga wstecz — stara się znaleźć w nim od *początku* pozór nieważności, szuka niezapalanej świeczki przy ołtarzu, stwierdza, wbrew prawdzie, że małżeństwo „nie było dokonane”, szuka świadków, przyjmuje fałszywe przysięgi, słowem, szerzy (mimo woli i z bólem w sercu zapewne) fałsz i zgorszenie. Otóż, pozostając na gruncie nie rozvodu, ale unieważnienia, nie widzę, dlaczego Kościół, po gruntownym zbadaniu, nie miałby powiedzieć tak: „To małżeństwo jest złe: wydało, zamiast cnót, obrazę boską; było widocznie omyłką, nie było nad nim błogosławieństwa Bożego, zatem Kościół unieważnia je, uznaje je za niebyłe”. Czy nie ma prawa tego zrobić? Ma prawo. Wszak powiedziane jest: „Cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie”. A jeżeli wolno jest rozwiązać i uznać nieważność najlegalniejszego w świecie małżeństwa dla lada wykrętnej formalności, tym bardziej wolno chyba to uczynić *dla braku błogosławieństwa Bożego*. Czy może być ważniejszy powód?

Nie pojmuję, ja, mędrzec, czemu Kościół tak mało ma wiary w swoją olbrzymią siłę; czemu się dobrowolnie pęta formalnościami, wołąc w tak doniosłej rzeczy oszukiwać sam siebie, szukać wyjścia w kruczkach procedury, niż spojrzeć w oczy faktom? Wiem, takie są tradycje Kościoła; taką drogę wskazuje mu wiekowa praktyka: głosić swą niezmienną i niewzruszoną, pracę zaś przystosowania się do zmiany pojęć i obyczajów prowadzić nieznacznie, powoli, bez rozgłosu. Trzysta lat upłynęło, zanim Kościół po cichu uznał naukę o obrocie ziemi koło słońca, potępioną bardzo głośno. Ale to było co innego: ziemia kręciła się tymczasem koło słońca swoim trybem i kręciła się bezpłatnie, więc nie krzyczała. Inna rzecz, gdy chodzi o żywych ludzi: zaczynają krzyczeć...

Historia, Religia, Obyczaje,  
Wierzenia

I jeszcze jedno. Dawniej cały świat stał po trosze na krętaństwie, na przemocy, na tajności, na przywileju i obchodzeniu prawa. Prawodawstwo cywilne, karne, kościelne, wszystko pod tym względem harmonizowało z sobą. Dziś istnieje niewątpliwy pęd do rzetelności stosunków i do powszechności praw, stąd zachodzi dla katolika w naszym państwie jaskrawa sprzeczność między regulowaniem wszystkich spraw w życiu a tej jednej. Nie może być w prawie i w obyczajach wyspy średniowiecza; nie może być wyspy przywileju dla bogaczy, ani przymusu krzywoprzysięstwa i oszustwa. To jest w sprzeczności z duchem czasu i nie może się ostać. Środki i środki formalne nie wystarczą na długo; dziś świat pędzi naprzód w szalonym tempie. Nie jest możebne, aby przy ogólnym podnoszeniu się moralności społecznej Kościół pozostał w tej mierze ośrodkiem demoralizacji; aby każdy, kto przestąpi w tej sprawie próg konsystorza, opuszczał go z uczuciem wstydu i wstrętu.

Jeżeli Kościół tego nie czuje, to znaczy, że zanadto się odciął od społeczeństwa, od życia; że zanadto się zasklepił w scholastycznych formułkach, tak mało licujących z dzisiejszym dniem! Zostawcie talmudystom głoszenie nieubłaganych przepisów przy równoczesnym szukaniu sposobu ich obejścia! Widzimy inne symptomy tego odcięcia. Tak na przykład przed kilku laty wyszła niewiarygodna ustawa, zabraniająca księżom chodzić do teatru. Jak to! Więc ten, który ma być pasterzem i doradcą dusz, ma być zupełnie nieświadomy i naiwny w tym, czym te dusze się karmią? Za moich szkolnych czasów najpopularniejszym spowiednikiem wśród młodzieży był jezuita, ksiądz Załęski, dlatego, że dysputował z nami przy konfesjonale o najnowszych powieściach Zoli. Toteż, wyznaję, że ten zakaz chodzenia do teatru zdumiewa mnie. Nie żądam, aby biskup w infule chodził na *Kokotki z towarzystwa*; ale aby ksiądz, bodaj w cywilnym stroju, tak jak się to dzieje za granicą, nie miał prawa iść do teatru, to mi się wydaje zupełną omyłką. Sądzę, że olbrzymia większość księży będzie w tym mojego zdania.

Jako przykład, jak daleko władze kościelne są od życia, przytoczę fakt ze świeżego procesu wileńskiego. Jak wiadomo, chodziło o to, że superintendent ks. Jastrzębski, zgodnie z zasadami swojej religii, dał ślub byłemu księdzu katolickiemu Ch., który go o to błagał i który żył w konkubinacie. Ten ksiądz Ch. to był wielki zdobywca serc: kiedy wziął ślub, przyznał się żonie, że ma mnogie dzieci, od których musi płacić alimenty<sup>10</sup>; liczył na żonę, że mu ze swojej pensyjki w tym dopomoże. To się nie spodobało pani Ch. i małżeństwo rychło się rozbiło. Wówczas Ch. zwrócił się do władzy duchownej z prośbą, aby go przyjęła z powrotem na swoje łono; poczynił zeznania, obciążające jego dobroczyńcę, ks. Jastrzębskiego, i prosił, aby, po naznaczeniu kościelnej pokuty, dano mu jaką posadę. I wiecie, jaką posadę obmyśliła mu władza duchowna? Posadę... katechety w szkole żeńskiej w Trokach. Ale kuratoria<sup>11</sup> — władza świecka — stojąc na straży moralności, nie zatwierdziła tej nominacji; wówczas Ch. przeszedł na łono Kościoła Narodowego.

Wracam do kwestii, która nas zajmuje. Uważam tedy, że ze strony Kościoła ta nieśmiałość w rozstrzygnięciu tak ważnego zagadnienia, to szukanie czysto formalnych wykrętów i wybiegów tam, gdzie ma od Boga nieograniczone pełnomocnictwa do regulowania sprawy, jest jakąś dziwną małodusznością. Jest w tym też niezrozumienie przewrotu, który przechodzimy, zawrotnego biegu, który sprawia, że jeden rok nie jest podobny do drugiego. Tu musi przyjść jakieś słowo zasadnicze. A jeśli to jest niemożliwe, jeżeli Kościół tak się zamotał we własne formułki, że nic nie może tu zrobić, w takim razie nie pozostaje mu nic innego, jak oddać tę sprawę w inne, mniej poświęcane, a tym samym mniej spętane ręce, i po prostu ustąpić tej dziedziny władzom państwowym, tak jak się to stało w innych krajach.

Zresztą, róbcie, co chcecie. Powiedziałem swoje, reszta nie należy do mnie. Ale, jeżeli będę widział, że ludzkość zanadto się męczy, wówczas nie zaręczam, czy nie wezmę tego w swoje ręce. Czy myślicie, że bym nie mógł, że nie mam kwalifikacji po temu, że nie mógłbym założyć swojego kościółka? Gdybyście wiedzieli, co ja za listy dostaję! „Niechże pan długo żyje! Kto wie, może się panu uda zmienić zasady moralności. Oby!” — tak pisze do mnie żona profesora uniwersytetu z Krakowa, człowieka bardzo bliskiego sfer

<sup>10</sup>alimenta — dziś popr.: alimenty. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>kuratoria (r.ż.) — dziś: kuratorium (r.n.). [przypis edytorski]

klerykalnych. A oto podobizna dziękczynnego listu<sup>12</sup>, jaki dostałem kilka lat temu od nieznajomej pary *Juliusza S. i Zochy N.* Podpisano: „*Warszawa, w dniu trzecim naszego wspólnego pożycia*”. Oto związek, który, nic o tym nie wiedząc, skojarzyłem. Trzy doby był szczęśliwy, to jest pewne. Czy wszystkie uświęcone związki mogą się tym poszczycić?

## STAŚKO Z DIDEROTEM, CZYLI FLAKI Z OLEJEM

Nareszcie wyruszyły klerykalne pisma i pisemka z polemiką. Pokazało każde, co umie: jakie pismo, taka i polemika. Więc krakowski „Głos Narodu” wysmażył artykułek pt. *Jędreń-mędreń zielono-balonikowy*:

...Jeden tylko ze współczesnych polskich pisarzy został przez część prasy nazwany mędrcelem (skarży się „Głos Narodu”). Nie Rostworowski, który... nie Berent, który... nie Staff, który... ale właśnie, on, Boy, tłumacz francuskich Diderotów...

I za co! (lamentuje dalej „Głos Narodu”). Boy-Żeleński nie ma warunków do tej swojej nowej roli... To, co napisał dotąd oryginalnego, było wodą; nic dziwnego, że „tomy Boya” urosły do cyfry setki... Ani więc głęboki, ani poważny pisarz; i taki człowiek został nazwany „Mędrcelem”. Drugi Staśko, tylko Staśko obznajmiony z Diderotem w oryginale.

Tak biada „Głos Narodu”. A ja też mam ochotę pobiadać, mianowicie nad straszonym poziomem tej „polemiki”. Czy to pisane przez matoleków czy dla matoleków? Dlaczego w naszych klerykalnych pisemkach stale mówią o rzeczach literackich analfabeci? Ten „Boy, nazwany przez część prasy mędrcelem”! Tych sto tomów (!) mojej oryginalnej wody; ten Staśko z Diderotem w oryginale! Oto poziom, do jakiego świętoszki sprowadziłyby naszą publicystykę, gdybyśmy im pozwolili rządzić się w Polsce jak na swoim folwarku.

A poziom argumentów! *Polak-Katolik* odpowiada na moje uwagi tryumfalną statystyką rozwodów, stwierdzając, że u protestantów jest ich więcej, niż u katolików. Zważywszy, że w kościele katolickim rozwód nie istnieje, a u protestantów istnieje, zestawienie to jest czymś w tym rodzaju, co gdyby ktoś przeprowadził statystykę porównawczą bigamii u nas a w dawnej Turcji i tryumfował, że u nas była rzadsza. Nie mówiąc o tym, że większość owych rozwodów protestanckich — niemal wszystkie — to są właśnie *rozwoły katolików*, zmuszonych do zmiany religii.

Ale czego żądać od *Polaka-Katolika*, kiedy sam ksiądz Kozubski w cyrkularzu *Katolickiej Agencji Prasowej* nie lepszymi walczy argumentami... Uregulowanie prawa małżeńskiego w duchu europejskim grozi, jego zdaniem, „ruiną społeczeństwa”... Ksiądz Kozubski jest profesorem uniwersytetu, a mówi do nas jak do dzieci. Księżę profesorze, ja też byłem przez 24 godzin profesorem uniwersytetu; nie zlekknę się. „*Ne zdurisz aptekara szajdewasserem*”, powiada stare ukraińskie przysłowie. Ruina społeczeństwa! W takim razie społeczeństwa Anglii, Niemiec, Szwajcarii, etc., etc., musiałyby dawno być ruiną. Tymczasem prosperują wcale dobrze, a nawet, o dziwo, cnoty rodzinne stoją tam dość wysoko. Lepiej nie tykajmy tych kwestii, bo jaki mason gotów by szepnąć, że podczas tych paru wieków, przez które kraje protestanckie rosły w potęgę i rozwijały się na wszystkich polach, kraje najprawowierniej katolickie jak Polska, Hiszpania, doszły do ostatecznego upadku. To drażliwy temat, księżę profesorze...

No a Poznańskie, wasze ukochane Poznańskie? Czy i to jest „ruina społeczeństwa”?

Z argumentami zatem jest słabo. Nic dziwnego. Sfery duchowne nie przywykły do argumentów; przywykły działać w ciemnościach i po cichu; przywykły u nas do tego, że im nikt nie patrzy na ręce i nie przyciska ich do muru. Cześć i milczenie!

Ale, kiedy się przerwało to milczenie, nie da się już ust zamknąć. Listy, rewelacje jakie otrzymuję, to jeden krzyk ludzkiej niedoli, na której żerują ci, którzy z urzędu swojego powinni goić rany ludzkości. Oto na przykład ustęp z listu, podpisanego imieniem i nazwiskiem; pisze go kobieta, która, jako młodzieńca dziewczyna, wyszedłszy za człowieka

<sup>12</sup>A oto podobizna dziękczynnego listu — w tym miejscu w wydaniu źródłowym wydrukowano list rękopiśmienny o treści: *Mistrzu! / Juliusz S. i Zocha N., którym wyjątkowo „chciało się naraz” przesyłają ci słowa wdzięczności za twe prorocze słowa „z tym najgorszy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz” / Juliusz S. Zocha N. / Warszawa - w dniu trzecim naszego wspólnego pożycia.* [przypis edytorski]

niegodnego jej uczuć, postanowiła się z nim rozejść. Znów ten klasyczny konsystorski proceder:

Nie chcąc zmieniać religii, zwróciłam się do adwokata konsystorza katolickiego (tu nazwisko znanego adwokata), który oświadczył mi, że choć podane przeze mnie przyczyny są „wyjątkowe”, jednak na tych zasadach unieważnienia w kościele katolickim nie uzyskam. Jeżeli więc chcę pozostać wierną wierze „ojców moich”, *to muszę ukryć dziecko, przekupić lekarza i udać dziewicę*, a ręczy za skutek!

Młoda kobieta wychodzi od adwokata — tak samo jak tamta wprzód cytowana przeze mnie — oburzona, zmienia religię i przeprowadza rozwód. Z czasem wychodzi powtórnie za mąż. Drugi mąż, korzystając z jej niedoświadczenia i nie dość chronionej prawem pozycji, wyzuwa ją z majątku, przeprowadza w sekrecie w konsystorzu katolickim unieważnienie małżeństwa (przy czym konsystorz nie zawiadomił jej ani o sprawie, ani o wyroku), po czym żeni się z inną, ograbiwszy tamtą ze wszystkiego, nawet z mieszkania. I nie ma wobec niej żadnych obowiązków: małżeństwo jego jest, wedle Kościoła, niebyłe.

Na skargę moją, skierowaną do Konsystorza Katolickiego, odpowiedziano osobie z mojej rodziny, że unieważniono małżeństwo na podstawie bulli papieskiej *Ne temere*, upoważniającej do rozwiązywania związków mieszanych, których ślub nie był powtórzony w kościele katolickim.

*A nie zawiadomiono mnie za karę, żem religię zmieniła.*

Czyta się to jak bajkę! To są istne dziwy, aby w praworządnym kraju można było kogoś oszukać i ograbić na podstawie — bulli papieskiej! Obecnie żona ta zaskarżyła męża o oszustwo przy zawieraniu małżeństwa (410 art. K. K.) i o bigamię (412 art. K. K.). Ładne historie. Oto, jaki chaos prawny stwarza istnienie tego państwa w państwie, w zakresie spraw, które są wszak nie tylko sakramentem, ale i kontraktem. I ksiądz Kobuzski twierdzi, że uregulowanie tych dzikich stosunków byłoby „ruiną społeczeństwa”! Świetny żart, księżo profesorze.

Drugi wypadek, o którym donoszą mi w liście:

Przed 30 laty, młody 18-letni chłopiec ożenił się z namowy rodziny z 20-letnią dziewczyną; niebawem rozstał się z nią, wyjechał i nie było go lat trzydzieści. Po trzydziestu latach przysłał do Warszawy swoją nieślubną żonę, aby wraz z tamtą ślubną nie-żoną wspólnymi siłami doszły do unieważnienia małżeństwa i uregulowania życia czworga ludzi. Ponieważ ci ludzie są biedni, ograniczyli się na serdecznych prośbach podanych na piśmie do Kurii Diecezjalnej. Prośby zostały bez odpowiedzi, a małżonka ślubna została wezwana przez miejscowego duszpasterza i otrzymała polecenie pod groźbą prześladowania kościelnego, to jest odmowy pociech i sakramentów w trakcie życia oraz przy skonaniu, aby zaraz porzuciła człowieka, z którym żyje i który usynowił dziecko urodzone z tego związku.

Kobieta była religijna, skutek oczekiwany: atak trucia się, choroba do dziś.

Proboszcz oprócz tego napisał list do władzy człowieka żyjącego na wiarę, że ponieważ pożyte takie daje zły przykład innym, prosi o wyrzucenie tego człowieka z posady...

Przypadkowo, ponieważ władza szczególnie ceniła i szanowała tego człowieka, denuncjacja pozostała bez skutku.

Zestawmy ten wypadek, w którym Kościół istotnie jest „nieprzejednany” — i więcej niż nieprzejednany — z doskonałym „przejednaniem” codziennych praktyk konsystorskich, a dojdziemy do smutnych wniosków...

Mam jeszcze i inne fakty, z nader wiarogodnego<sup>13</sup>, niemal urzędowego źródła, ale te już doprawdy zbyt brzydkie są, aby je tu przytoczyć.

<sup>13</sup>wiarogodny — dziś: wiarygodny. [przypis edytorski]

Na zakończenie coś weselszego. „Głos Narodu” przejął się bardzo moją groźbą. „Boy (wykrzykuje) — jako założyciel nowego kościółka, nowej sekty! Diabeł ubrał się w ornat”.

Szkoda, że jeszcze nie dodał, że do mszy mi służą Staśko z Diderotem... Oj, głuptasy, głuptasy, jakże łatwo jest na waszym tle wydać się „mędrcom”...

## KOŚCIELNE BIGAMIE

Po każdym moim felietonie „rozwodowym” powiadam sobie: „No, to już ostatni! Już za dużo o tym temacie: trzeba przejść do czego innego”.

Ale gdzie tam! Nie dadzą mi. Listy, telefony, dokumenty, zachęty do „walki o dobrą sprawę”, fakty rzucające nowy snop światła; — wreszcie wymyślania pociesznych pismek, bardzo rozweselające i zbawienne dla zdrowia. Wszystko to sprawia, że brnę dalej przez zakamarki tej fabryki zgorzenia, w której psychika średniowiecza pracuje udoskonalonymi metodami.

Listy! Między innymi, bardzo ciekawy list od urzędnika państwowego w byłej dzielnicy pruskiej, wybitnego prawnika. Zaczyna się od komplementu, który dla „dobra sprawy” z rumieńcem skromności przytaczam:

Uwagi pana na temat „unieważnienia małżeństwa” są tak wnikliwe i słuszne, że wyrażenie ich autorowi kilku słów szczerego uznania i zarazem podziwu dla — odwagi cywilnej, staje się po prostu potrzebą serca. Dając mu folgę, pozwalam sobie przy tej sposobności dorzucić parę spostrzeżeń.

Oto w sejmie i w prasie narodowo-demokratycznej szermuje się argumentem o wyższości kulturalnej dzielnic zachodnich. Czyby nie było prościej, zanim nastąpi „kleszczowy poród” prawa małżeńskiego w Komisji Kodyfikacyjnej, podnieść nieco resztę zacofanych dzielnic na poziom zachodniego ustawodawstwa, obejmującego przepisy o ślubach cywilnych i urządach stanu cywilnego? Wiemy, że ludność tamtejsza pogodziła się z tym dawno, a jaka jest siła przyzwyczajenia, przytoczę przykład z własnego doświadczenia:

Kiedy, przed kilku laty, przeniesiono mnie tutaj, tutejsze służące (stuprocentowe katoliczki) wyrażały wobec żony poważne wątpliwości, czy nasze małżeństwo, zawarte tylko w kościele (w Krakowie) jest ważne, skoro nie byliśmy w urzędzie stanu cywilnego. Słowem, podejrzewano nas o konkubinat... (Tak by było wedle obowiązującego tu prawa). Z czasem, wobec coraz liczniejszego napływu ludzi z Galicji, z podobnymi konkubinatomami oswojono się...

List ten jest niezmiernie interesujący. Podwójnie. Raz dlatego, że, jak już zwróciłem na to uwagę, szermierze małżeńskiego monopolu Kościoła, twierdząc, że uregulowanie cywilne tych spraw groziłoby „ruiną społeczeństwa”, przemilczają dyskretnie były zabór pruski, gdzie właśnie ustawodawstwo cywilne w sprawach małżeńskich istnieje. Nie tylko dzielnice te nie trącą „ruiną”, ale są w dodatku podobno najsilniejszą ostoją religii i rodziny.

Ale jest i rzecz druga. Te służące, patrzące podejrzliwie na ślub wyłącznie kościelny, jako na... konkubinat, mogą nie być tak naiwne i śmieszne, jak by się zdawało! Mogą istnieć wypadki, w których te służące miałyby zupełną słusność... Oto przed paru dniami otrzymałem od znanego adwokata warszawskiego zajmującą relację z procesu, który niedawno temu, przez wzgląd na osoby wchodzące w grę, narobił sporo hałasu w Warszawie.

Katolik ożenił się z protestantką. Zgodnie z naszą obowiązującą ustawą, ślub odbył się w kościele obrządku narzeczonej, zatem w świątyni ewangelickiej. Po pewnym czasie, mążowi sprzykrzył się ten związek; cóż tedy robi? Udaje się po prostu do konsystorza katolickiego, który skwapliwie ślub ten unieważnił (bez zgody i bodaj bez wiadomości drugiej strony) i pobłogosławił nowy związek tego samego męża z inną. Pierwszą żonę, po unieważnieniu małżeństwa, mąż zostawił bez żadnego zaopatrzenia, pozbawił ją nawet mieszkania. Kościół, uznając małżeństwo za niebyłe, zwolnił go miłosiernie ze wszystkich obowiązków. Pokrzywdzona żona wytoczyła proces przed sądem; otóż, sąd, wyrokiem

swoim skazującym męża na płacenie alimentów, stwierdził, że pierwsze małżeństwo jest legalne i ważne, a tym samym drugie, zawarte prawidłowo z punktu kościelnego i w kościele katolickim, stało się wobec prawa konkubinatem. Gdyby sąd miał odwagę być konsekwentny, wytoczyłby temu mężowi proces o bigamię, księdzu zaś o to, że dał ślub człowiekowi żonatemu; ten ostatni proces byłby z punktu prawnego niewątpliwie bardziej uzasadniony niż proces superintendenta Jastrzębskiego.

Widzimy tedy, że są okoliczności (a jest to wypadek typowy i wcale nie odosobniony), w których katolickie małżeństwo kościelne może być — o zgrozo! — konkubinatem, przynajmniej wobec prawa; a ostatecznie, prawo jest... prawem. Oto, jakie stosunki wytwarza dzika gospodarka małżeńska konsystorzów katolickich, depcząca<sup>14</sup> nie tylko prawa państwowe, ale i wszelkie poczucia ludzkie. I nie wiem, doprawdy, czy przyczyniają się do powagi któregośkolwiek Kościoła te wędrowniki od wyznania do wyznania, przy czym religia i jej zmiana służą nieraz jedynie za narzędzie do oszukania i ograbienia bezbronnej istoty. Tego rodzaju stosunki czynią pożycie małżeńskie czymś nad wyraz niepewnym; ów rzekomo nierozzerwalny związek staje się w istocie nierzetelną spółką, w której jeden ze współników może, przy pomocy władzy duchownej, w każdej chwili oszwabić drugiego. Tylko ujednostajnienie cywilne prawa małżeńskiego mogłoby temu zapobiec. Ale to uregulowanie grozi, wedle księdza profesora Kozubskiego, ruiną społeczeństwa! Trudno o wymowniejszy dowód, że Kościół — a raczej konsystorz — w swoim oporze zabrnął w jakiś zaulek, w którym każde słowo i każde pojęcie jest przeciwieństwem tego, co zwykły one oznaczać w języku uczciwych ludzi.

Ale, skoro pp. duchowni lubią formalistykę i dialektykę, mogą i tym służyć. U mnie jest wszystko, jak w sklepie; życzliwi czytelnicy dostarczają mi wszystkiego. Oto, co pisze do mnie jeden z najznakomitszych naszych uczonych:

Czcigodny Boyu-mędrcze!

Może ci się przyda pewien pomysł kościelnego rozwiązania sprawy rozwodów i unieważnień małżeństw; pomysł podany przed paroma laty w broszurze pewnego autora, którego nazwiska, niestety, nie pamiętam.

Wśród *impedimenta matrimonii*, okoliczności uniemożliwiających prawomocność małżeństwa, wyliczają kanony *error in persona*, pomyłkę w osobie. Komentarze z końca starożytności objaśniają, że jeśli kto na przykład poślubił jakąś dziewczynę jako wolno urodzoną obywatelkę, a po ślubie okazało się, że była pochodzenia niewolniczego. Kościół, liczący się z rzymskim i greckim *ius conubii*<sup>15</sup>, umarzał takie małżeństwo jako nieistniejące z powodu *error in persona*.

Albo np. w wiekach średnich ktoś prosił przez swatów ojca o rękę młodszej córki i sam czy *per procuram* brał z nią ślub. Potem okazało się, że ojciec dał mu za żonę córkę starszą, czy w ogóle inną niż tę, o którą on prosił (tak postąpił już Laban, dając Jakubowi Lię zamiast Racheli). Na reklamację oszukanego, Kościół unieważniał małżeństwo z powodu *error in persona*.

Tego rodzaju pomyłki dziś się już nie zdarzają, ale paragraf w Kanonach został. Otóż autor zwraca uwagę na możliwość wyzyskania go dla celów współczesnych.

Według nauki Kościoła, w osobie (*persona*) ważniejsza jest dusza (za której odkupienie Chrystus poniósł śmierć krzyżową), niż ciało. *Error in persona* można więc brać jako pomyłkę co do duszy, charakteru osoby. Ktoś poślubia pannę, w przekonaniu, że to osoba pobożna, łagodna itp. Po pewnym czasie, przekonany<sup>16</sup> się, że to bezbożnica, gwałtowna itp. Prawodawstwo cywilne uznaje niezgodność charakterów uniemożliwiających współżycie małżeńskie. Obecnie, może Kościół przeprowadzić ten punkt widzenia na podstawie paragrafu o *error in persona*.

<sup>14</sup>depcząca — dziś częściej: depcząca. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*ius conubii* (łac.) — prawo dotyczące małżeństwa. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>przekonywa — dziś raczej: przekonuje. [przypis edytorski]

Nie trzeba do tego żadnych soborów. Wystarczy zwykłe wyjaśnienie kurii papieskiej. Przecież w tej drodze ogłoszono przed paru miesiącami, że w rocznicę przysięgi ślubnej u kobiet opuszcza się „posłuszeństwo małżeńskie”.

Posyłając ci cudze uwagi o *error in persona*, proszę, byś przy ich ewentualnym uwzględnieniu nie powoływał się na mnie. Serdeczne pozdrowienia, z wyrazem podziwu i sympatii.

Wyrazy sympatii. Owszem. Zewsząd płyną ku mnie wyrazy sympatii po cichu, a gromy oburzenia padają głośno. Jestem wciąż jak ta dziwka, którą się szczypie w udo w gabinecie, a nie poznaje się jej na ulicy.

No i „polemika”. Ach! Och! Abonuję się w *Informacji Prasowej Polskiej*, więc co dzień lub co drugi dzień otrzymuję paczkę obelg, porcję nienawiści wyzianą przez ludzi skupionych pod sztandarem miłości bliźniego. Przywykłem do tego jak do rannego masażu. Radzę wam, abonujcie się w *Informacji Prasowej Polskiej*. Obiecałem jej reklamę pięć lat temu, dopełniam obietnicy.

Za to listy bywają bardzo pokrzepiające. Nie ma dla pisarza miłszej rzeczy niż ten kontakt z Nieznanym, niż te sygnały dochodzące z mroku, z nowych łądów. Oto, co pisze mi nieznamy starzec:

Szanowny Panie!

Odczytałem w „Przeglądzie katolickim” wymyślanie na pana z powodu jego recenzji dramatu *Jadwiga*.

Miał pan rację w tym, co pisał, lecz Boy mędrzec byłby twórcą nie lada, gdyby oprócz sceptycznego mądrwania pisał i mówił wreszcie otwarcie i śmiało, że podłość i głupota współczesnego ustroju polega na patriarchacie.

To, że pan i ja jesteśmy dzieckiem naszych matek, to fakt przyrodzony; ojcostwo — zawsze niepewne.

Kobieta wolna i wolna miłość, i maternitet, to jest matriarchat (nazwisko po matce), to zdrowe stosunki społeczne — gdy tymczasem zmiana nazwiska kobiety na przynależność męża, to fałsz i obłuda.

Kobieta od XV wieku, poprzez emancypację towarzyską, aż do XIX wieku przez emancypację ekonomiczną, powoli, stopniowo dochodzi w XIX wieku do emancypacji płci, i całą naszą cywilizację, zakłamanie i oszustwa w religii katolickiej rychło diabli wezmą, gdy urodzi się wielka kobieta i kilku dzielnych publicystów sekundować jej będzie w pracy ideałów pangynizmu<sup>17</sup>.

Mam lat 60 z górą i dość doświadczenia na to, że przyczyną rozwodów, trójkątów małżeńskich, zdrad, tragedii, fałszu itd. jest to patriarchalne małżeństwo, jakie cywilizacja judeo-chrześcijańska uprawia. I publicysta ośmieszający to wszystko, to mało; dopiero publicysta-twórca, wskazujący nowe horyzonty, to twórca życia nowego.

Piszę w skrócie, bo nie wiem, czy ten list Pana dojdzie, lecz powtarzam, że mam żal do publicystów za ich małostkowość i brak silnej twórczej inicjatywy obyczajowo-społecznej.

Kpiną, krytyką i sceptycyzmem masy się nie zdobywa; dopiero nowe myśli, życie nowe — masy mobilizują.

Upaja to tłum, i publicysta nie mający mocy tego nastroju, to snob tylko i polsko-katolicka trąba.

Mogę o tym z panem prowadzić korespondencję, by pana zapłodnić myślą Nową dla wydania jakiego bądź utworu myśli Nowej.

Tak mówi starzec. A ja odpowiadam w pokorze: Mocne są jak grom twoje słowa, o starcze, którego oczy witaly zielen wielu wiosen i którego włosy przyprószył śnieg wielu zim. Prowadź ze mną korespondencję, bracie mój, i zapłodnij mnie Nową Myślą, bo sam czuję najlepiej, że, mimo pozorów zuchwalstwa i odwagi, jestem — może nie snobem — ale „polsko-katolicką trąbą” na pewno. I bodaj za to jedno wyrażenie, którym wzbogaciłeś

<sup>17</sup>pangynizm (z gr. *pan-*: wszech- i *gynē*: kobieta; por. fr. *pangynique*) — wszechkobiecość; idea kobiecości jako wartości nadrzędnej, rządzącej niepodzielnie. [przypis edytorski]

mowę naszą, przyjm<sup>18</sup>, starcze, podziękę od tego, który chciałby zostać uczniem twoim i który zaledwie śmie w twojej obecności podpisać się:

*Boy, mędrzec.*

## MĘDRZEC WŚRÓD BOGACZY

Mędrzec zbiera ziarno mądrości, gdzie się zdarzy. I tak, zdarzyło mi się niedawno być na obiedzie u jednego z wielkich finansistów warszawskich. Ślicznie tam było: kryształy, srebra, dzieła sztuki, służba żółwiowa, zupa stylowa (to jest, przepraszam, odwrotnie: służba stylowa, zupa żółwiowa), trufel<sup>19</sup> na truflu jedzie i truflem pogania, talerze ciepłe, kobiety chłodne, słowem wielki świat aż miło.

Ponieważ było to już po moich pierwszych felietonach tzw. „rozwodowych”, sąsiadka zaczęła ze mną rozmowę na ten temat. Przykład sypał się po przykładzie, anegdota po anegdocie, z imionami, z nazwiskami, wszystko arcy-katolickie, wszystko dobrze znane z koła jej rodziny i bliskich. Ale szczególnie został mi w pamięci i ubawił mnie jeden przypadek.

W pewnym małżeństwie, rozdzielonym przez wojnę, mąż utkwił dla interesów w Konstantynopolu, utrzymując zresztą korespondencję z żoną. Wśród tego, żona, zakochawszy się w innym, uzyskała jednostronnie, bez wiedzy męża, unieważnienie małżeństwa, z powodu że *mąż zaginął*. Do stwierdzenia tego może wystarczyć dwukrotne ogłoszenie w pismach, przy czym wybiera się pisma najmniej czytane i druczek najmniejszy. Ale co jest zabawne, że, przez cały czas procesu, żona pisywała serdeczne listy do „zaginionego” a nie wiedzącego o niczym męża, tak, iż ten dostał od niej list z nagłówkiem: „Kochany Jasiu” czy „najmilszy Franiu”, prawie tego samego dnia, w którym konsystorz podpisywał unieważnienie małżeństwa z „zaginionym”.

I co mnie oburza, to zuchwałstwo klerykalnych świstków w rodzaju „Głosu Narodu”, które chcą wmówić w naiwnych, że „masony” atakują Kościół za jego nieprzejednanie. Całkiem przeciwnie, powtarzam, stwierdza się aż nazbyt daleko idącą ustępliwość... Ironizując w artykuliku *Boy-egzegeta* mój cytat: „Cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie”, pisarek powołuje się na słowa Chrystusa: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza” i woła patetycznie: „Przypuszczamy, że Boy-mędrzec zna to miejsce z Ewangelii!” Owszem, znam; i dlatego dziwi mnie, że przy każdym konsystorzu wisi armia zaufanych adwokatów, których fachem, specjalnością jest rozłączać to, co Bóg złączył. Oczywiście nie każdemu. Bo codzienna praktyka, obserwując<sup>20</sup> pilnie te słowa Zbawiciela, dodała do nich maleńkie słówko: „Co Bóg złączył, niech człowiek nie rozłącza *gratis*”.

A teraz, dla kontrastu, drugi obraz. Zmiana dekoracji: chata ubogiego rolnika, który bez swojej winy znalazłszy się w fałszywym położeniu i w grzechu, chce z niego wyjść i, pragnąc dać dzieciom uczciwą egzystencję, zwraca się z naiwną ufnością do matki-Kościola. Oto odpis jego podania do Sądu Arcybiskupiego, przesłany mi przez jednego z czytelników:

Do Sądu Arcybiskupiego w...

Skarga powoda N. N. w sprawie przeciwko... o rozwiązanie małżeństwa przez rozwód.

W roku 1912, w rzymsko-katolickim kościele parafialnym w X., zawarty został związek małżeński pomiędzy mną a pozwaną. W krótkim czasie po ślubie zauważyłem, że jawnie jestem zdradzany przez żonę, która zaczęła prowadzić życie rozpustne, nawiązując coraz to nowe znajomości z rozmaitymi podejrzanymi osobnikami. W roku 1914, b. władze rosyjskie powołali mnie do czynnej armii wojennej jako zapasowego szeregowca. Wówczas pozwana, korzystając z mojej nieobecności, nadal uprawiała stale orgię pijacką i rozpustę, żyjąc na zmiany coraz to z kim innym. Taki stan rzeczy trwał do roku 1918. Zaś po powrocie moim z wojny w tymże 1918 roku, zastałem pozwaną w zażyłych lubieżnych stosunkach z nieznanym mi osobnikiem, razem

<sup>18</sup>*przyjm* — dziś popr.: przyjmij. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*trufel* — dziś: trufla. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*obserwować* — tu: zachowywać, pilnować. [przypis edytorski]



zamieszkałych do dnia dzisiejszego. Żadne perswazje, tak ze strony mojej, jak i rodziny jej oraz znajomych, ażeby powróciła do życia legalnego, skutku nie odniosły. Będąc złamany moralnie i duchowo, od roku 1918 rozpocząłem prowadzić życie osobne, a nabywszy własny domek i cokolwiek ziemi, siłą rzeczy zmuszony byłem przyjąć obcą kobietę dla zajęcia się domowym gospodarstwem, gdyż sam od 8 rano do 5 po południu każdego dnia pracuję w fabryce i przez to nie jestem obecny w domu. Z powodu pożycia ze swą gospodynią pod jednym dachem, zostało zrodzonych troje dzieci, które obecnie w wieku od 3 do 9 lat. Mając obowiązek wychowania tych dzieci i ich uojcowienia, pragnę zatem zaślubić gospodynię swą, a z pierwszą żoną, pozwaną w sprawie niniejszej, otrzymać rozwód przez rozwiązanie małżeństwa z winy pozwanej. Wobec powyższego, upraszam Sąd Arcybiskupi o łaskawe rozwiązanie małżeństwa przez udzielenie rozwodu.

W charakterze świadków proszę wezwać... (tu nazwiska i adresy).

Osoba która przesłała mi kopię tej prośby, pisze mi,

że na nią *otrzymano odpowiedź, iż Sąd Arcybiskupi rozwodu nie udzieli, że żona powoda może prowadzić życie rozpustne i że Sądu dzieci powoda nic nie obchodzi.* „Taką odpowiedź wydało dwóch kościelnych mędrców: (nazwiska). A zatem dzieci pozostaną bękartami, pośmiewiskiem wsi, rodzice ich żyć będą na wiarę”, pisze z rozżaleniem mój korespondent.

Oczywiście, podanie to było naiwne; każdy odpowie, że na takie podanie Sąd Arcybiskupi nie mógł dać innej odpowiedzi, jak tylko odmowną, ponieważ rozwód nie istnieje. Ale mimo woli nasuwają się porównania i refleksje, że, gdyby chodziło o możliwych tego świata, znalazłby się sposób, i dla bliższej przyczyny, i bez przyczyny... Rozwodu nie ma; oczywiście: „Co Bóg złączył” etc.; ale znalazłby się kruczek do unieważnienia. Czasem nawet dość dziwny kruczek. Niedawno rozmawiała ze mną pewna zamożna ziemianka i opowiadała mi dzieje swego niedoszłego rozwodu. Ni mniej ni więcej, tylko adwokat konsystorski zaproponował jej, aby się podała za lesbijkę (widać z przywróceniem dziewictwa były trudności), po czym mąż zezna, iż z powodu jej przewrotnych gustów zmuszony był ją opuścić. — Jakże ja mogę o sobie takie rzeczy opowiadać! okrzyknęła się dama. — Przecież to poza konsystorz nie wyjdzie, a księża i tak wiedzą, że to nieprawda; to się często praktykuje, odparł najspokojniej adwokat.

Powiedzą na to: przypuśćmy, że istnieją nadużycia, ludzie są ułomni, ale to nie obciąża w niczym zasady. Cóż, kiedy codzienna praktyka poucza, że nadużycie stało się tu zasadą, systemem, instytucją... Aż mi wstyd, że muszę tyle razy powtarzać jedno i to samo; ale kto by przeczytał parę numerów klerykalnych pisemek, ten by zrozumiał, dlaczego *trzeba* powtarzać to samo, wciąż i do skutku. Wciąż, gdy mowa o „nieprzejednaniu”, trzeba się dziwić, że konsystorz wybiera sobie dla swego „nieprzejednania” wypadki istotnie poważne, i biedaków, dla których to jest klęską życia; że ma rękę stalową dla jednych, aksamitną dla drugich. I ostatecznie musi taki biedak pomyśleć: na co zda się religia, skoro w najcięższych próbach życia nic nie pomoże, i nie tylko nie poradzi sama, ale zazdrośnie czuwa, aby władze świeckie nie mogły ulżyć ludzkiej doli. Czyż funkcje religii mają się ograniczać jedynie do grzebania człowieka? Po śmierci i za życia?

Ksiądz profesor Kozubski i inni twierdzą, że to właśnie jest idealnie, że nic się tu reformować nie da i nie trzeba i że wszelka zmiana byłaby „ruiną społeczeństwa”. Ba, więcej: nie wolno się tymi rzeczami zajmować, o nich mówić; kto je poruszy, ten jest natychmiast — jak ja — obsypany stekiem obelg. Doprawdy, można by przypuszczać, że ci ludzie zupełnie stracili poczucie rzeczywistości! Miałbym ochotę przytoczyć cały list, który od jednego z czytelników otrzymałem, a który kończy się tak:

Śmiem wyrazić zdanie, że obecnie stosunki są nie do wytrzymania; ludzie w tej atmosferze duszą się i szukają powietrza, ale nie w Kościele Katolickim. Doprowadzić to może u nas do „Meksyku” — tylko oby sprawcy tego nie uważali się w krytycznej chwili za ofiary, jak to się zwykle dzieje; należy ich o tym uprzedzić...

Porzućmy te ponure obrazy; przejrzyjmy dla rozweselenia parę klerykalnych pisemek i ich „polemikę”. Jedno przepowiada mi straszny koniec w sanatorium dla zboczeńców; w drugim jakiś głuptas kreśli taki ponury obraz przyszłości Boya:

Obawiać się musi także, że go na progu starości, kiedy mu zbraknie wrodzonej werwy i sarkazmu, a krzypoty<sup>21</sup> wieku sędziwego tamować będą skrzący się wylew natchnienia, że go wtedy opuszczą gęstym dziś zbici wkoło niego kołem, i nie szczędzący pokłasku Koplery i Stiglitz... i zostanie Boy sam, biedny lubieżny egotyczny staruszek, ze wspomnieniami dawnych sukcesów, które jakżeż drogo okupił zaparciem się tego wszystkiego, co go wiązać mogło z tradycjami wczesnej młodości!

Mylisz się, głuptasku. Jeżeli dożyjesz, będziesz mnie mógł oglądać w roku 1964, jak owacyjnie przyjmowany, zdrów, czerstwy i uśmiechnięty, będę siedział w łożu Teatru Narodowego, w dniu uroczystego trzechsetlecia premiery *Świętoszka*. I do tej pory, miejmy nadzieję, że dobroduszny polski Orgon strząśnie z siebie dławiącego go Tartufa.

## DZIEWICE KONSYSTORSKIE

Dochodzę do końca moich rozważań. Rozumiano je przeważnie dość opacznie. Imputowano mi zacieklą walkę o rozwody. Omyłka. Nie o rozwody walczę, ani o „wolną miłość”, jak to dudki chcą wmówić innym dudkom, ale o coś innego, o coś więcej. W trakcie tych utarczek, nasunął mi się pod pióro termin, który już stał się niemal obiegowy: „konsystorskie dziewice”. I stopniowo te „konsystorskie dziewice” urastały mi w symbol złych sił, zatruwających nasze życie. „Konsystorskie dziewice” — to symbol fałszu, obłudy, które zaczynają panoszyć się dokoła coraz zuchwalej.

Rola duchowieństwa była zawsze w Polsce olbrzymia. Niepodobna mi w tych szczupłych ramach pokusić się o rozważenie, w jakim stopniu kler, który, uporawszy się z „herezykami”, położył w dawnej Polsce rękę na wszystkim, przyczynił się do pogrążenia narodu w owej straszliwej ciemnocie, w jakiej tkwiliśmy przez cały wiek siedemnasty i trzy czwarte osiemnastego, wówczas gdy inne narody spełniały największą pracę myśli. To pewna, że, jeżeli Polska z tej ciemnoty spróbowała się wydzwignąć, jeśli, częściowo bodaj — niestety za późno — to się jej udało, zawdzięczała to przede wszystkim owym do dziś jakże znienawidzonym w pewnych sferach „Diderotom”, Wolterom i Monteskiuszom, których wpływ wyraził się w pięknym dziele Konstytucji Trzeciego Maja. Ale już było za późno: Polska upadła. I wówczas, dzięki warunkom, w jakich naród się znalazł, zaczął się ów proces, który trudno określić lepiej, niż słowami najszlachetniejszej i głębokowierzącej pisarki, Narcyzy Żmichowskiej:

...między grozą schizmy rosyjskiej a protestantyzmu niemieckiego, duchowieństwo katolickie znalazło grunt wybornie przygotowany pod siebie swych życzeń i zamiarów; — wszystko, co polskie, przedzierzgnęli na katolickie, wszystko, co katolickie, udali za szczeropolskie, i tak dziś tymi dwuznacznikami zręcznie szermierzą, że odrobili już prawie wszystko, co od początku XVIII w. w sumieniu ogólnym ludzkości uczeni i bohaterowie, rozumni i poczciwi, kosztem krwi, życia i ciężkiej pracy, wypracowali na koniec...

Kamień grobowy odwalono, Polska zaczęła żyć własnym życiem. Natychmiast kler wyciągnął rękę po nią, niby po swoje prawe dziedzictwo. Umocniony w potęgę przez naszą ordynację wyborczą, świadom swego wpływu na masę włościańską i na kobiety, oparł się przede wszystkim na tych czynnikach. Kwestia cywilnego ustawodawstwa małżeńskiego jest, z tej perspektywy, punktem bardzo drażliwym, bo odbiera klerowi supremację w najbardziej powszechnej i życiowej sprawie. Nie tyle o dogmat tu chodzi, nie tyle o niebo („z Niebem zawsze poradzić jakoś sobie można”... powiada Molier) — ile o ziemię. Ta walka o władzę tłumaczy „podwójną buchalterię” konsystorzy wobec tłumu a wobec uprzywilejowanych: tłum trzymać siłą, a możnych tego świata ustępliwością.

<sup>21</sup>krzypota (daw.) — niedomaganie, choroba. [przypis edytorski]

Stąd pobłażliwość dla jednych, nieprzejednanie dla drugich; stąd armia konsystorskich adwokatów, która się stała zorganizowaną instytucją fałszu i świętokradztwa. Stąd wynalazek nad wynalazki: „konsystorskie dziewice”.

Ale metody te oddziałują pośrednio na całe nasze życie. Będę mówił o tym, co znam najlepiej. Klerykalizm pokumał się z nacjonalizmem; oba obozy potrzebowały „ostrych piór”; poszukały ich, gdzie mogły. Toteż, kiedy przenieśliem się kilka lat temu do Warszawy, z uśmiechem patrzyłem, jak wszystkich największych wygów i cyników, jakich znałem, skupiono w „Okopach świętej Trójcy”, w rzędzie obrońców wiary i cnót staropolskich. Ale kiedy przyjrzałem się bliżej, rychło przestało mi to być zabawne, a stało się obmierzłe: widziałem zastraszające znieprawienie charakterów.

Wspomniałem już o zjawisku, które nie istnieje chyba w żadnym innym kraju; to, że znaczna część szermierzy katolicyzmu w naszych dziennikach, to ewangelicy! Nie przerywając pracy w klerykalnym piśmie, zmienia się wiarę dla celów małżeńskich i, przeprowadziwszy własny rozwód, pyskuje się dalej o nierozzerwalności małżeństwa! I nikomu tam nawet na myśl nie przyjdzie pytać, jakiego kto wyznania: *katolik z zawodu* — to wystarczy. Czy potrzeba lepszego dowodu na to, że tu nie o dogmaty chodzi ani nie o wiarę; że inny tu jest cel, który — jak wiadomo — uświęca środki... Dochodzi do bardzo zabawnych paradoksów: jeden z naszych najtęższych kondotierów katolicyzmu (oczywiście ewangelik) został przez Towarzystwo imienia Piotra Skargi uroczysto potępiony za swą działalność pisarską, co nie przeszkadza klerykalnym pismom gloryfikować go na wszystkich polach jako „swojego człowieka”, jako obrońcę wiary i ołtarza, pogromcę heretyków i masonów.

Ale zauważmy, iż w naszym młodym państwie jedni i ci sami pełnią rozmaite funkcje: publicystów, polityków, nawet doktorów Kościoła, a równocześnie literatów, krytyków... Czego spodziewać się po takich ludziach? Gdy ktoś szalbierzy w rzeczach religii, czegoż żądać od niego w sprawach literatury? I tu przede wszystkim trzeba szukać przyczyn zatrucia naszego życia literackiego. Można by humorystyczne pismo wydawać, zapełniając je enuncjacjami tych samych pisarzy o tych samych sprawach na przestrzeni lat kilku. Parę dni temu ubawiłem literacką Warszawę, cytując stary felieton tzw. Ojca Miłaszewskiego, w którym wysławia Boya za to, że „iskrzącym się dowcipem wypala bigoterię zarówno patriotyczną jak pseudoreligijną”...

W trakcie tych moich rozważań, jeden z czytelników przesłał mi dla zabawy numer pisemka „Odrodzenie” z r. 1906, z artykułikiem pt. *Przestańcie, bo się źle bawicie*. Ach, co za rzeczy tam czytamy:

...Istotnym wrogiem pokoju, zarzewiem waśni domowych i podniętą Kainowych zbrodni okazują się nie niewiara, lecz fanatyzm religijny; nie świecka nauka... przewrotowe idee współczesne, lecz średniowieczna ciemnota i zabobon, wstecznicstwo starannie pielęgnowane przez Kościół katolicki w jego własnym interesie... Adoracja dla najświętszego Sakramentu i Matki Boskiej nieustającej pomocy, handel szkaplerzami i obrazkami świętymi, posty i dobrowolne umartwienia, częste komunie... Ile to cudownych obrazów i miejsc przez Matkę Boską nawiedzanych istnieje w naszym kraju...

...Naiwna, szczerza, gorąca wiara ciemnego i w ciemnocie utrzymanego ludu, póty była duchowieństwu na rękę, póki lud odciągała od wieców politycznych a gromadziła w kościele; póki hamowała pragnienie dobrobytu, a zapełniała kościelne skarby...

...Nie, nie, nie! Niechaj się księża między sobą suspendują, wyklinają, niech zanoszą do Watykanu skargi, repliki, protesty, kontrprotesty, niech apelują do papieża, gubią się w teologicznych zawilosciach i subtelnościach — lecz niech się nie wąż posługiwać ludem jako narzędziem swoich waśni”...

W tym — i jeszcze jaskrawszym — tonie paręset wierszy. A wiecie kto to pisał? Podpisano pełnym imieniem i nazwiskiem: pani Iza Moszczeńska. Izia, Iziula, Ziuta, dziś zatrudniona w lewentalowskim handelku dewocjonaliami markietanka armii świętoszków. A przecież kiedy pani Iza Moszczeńska pisała te słowa, nie była już dzieckiem... Ewolucja? — Zapewne...

Mniejsza o panią Izię. Ale są ludzie, do których mam żal, kiedy widzę, co się z nich zrobiło w tej służbie. I drugi mam jeszcze żal, to jest o obniżanie poziomu umysłowego w Polsce. W „kąćniku polemicznym” tych felietonów miałem sposobność cytować to i owo, i pokazać, że, gdyby zostawić „rząd dusz” pewnym sferom, rychło doprowadziłyby nas do ciemnoty iście z czasów saskich. I kiedy się widzi to absolutne liczenie na bezkrytyczność, powiedzmy na... głupotę czytelnika; kiedy się widzi złą wiarę argumentów, zaparcie się elementarnej rzetelności i logiki, doprawdy ogarnia smutek i zniechęcenie.

Wszystko to, powtarzam, wytwarza zatrutą atmosferę. Przez swoją politykę rozwojową doprowadził Kościół do tego, że zmiana wiary jest niczym, obojętną formalnością. W kraju, gdzie wiara odgrywa rzekomo taką rolę, gdzie tyle się o niej gada, tylu ludzi wodzi nią na pasku, taki stan to rzecz groźna. Wytwarza to wrażenie jakiegoś powszechnego szalbierstwa. „Prawo nie może zmuszać obywatela do kłamstwa”, pisze w dyskusji o ustawodawstwie małżeńskim prof. Wł. L. Jaworski, gorliwy katolik. Widzimy znamienne symptomy: jeden z dostojników państwa, sam katolik, dał syna ochrzcić w kościele ewangelickim, iżby ten syn mógł przejść przez życie jako uczciwy człowiek i korzystać z pełni praw obywatelskich. I takich jest wielu, coraz więcej... Ludzie przechodzą na prawosławie, na mahometanizm! Niechby wreszcie przechodzili; ale rzecz w tym, że wszystko razem, to jest wielka szkoła fałszu dla całego społeczeństwa. I trzeba w końcu spytać: dla kogo ta cała olbrzymia komedia?

Zrozumiałe jest tedy, że walka o uzdrowienie ustawodawstwa małżeńskiego staje się wyrazem walki o ogólniejsze cele. O czystość atmosfery, o wyrugowanie fałszu z naszego młodego życia; o to, by nas nie straszyla na każdym kroku upiorna twarz Świątoszka. To jego oblicze, które wyziera z ciemnych pism klerykalnych — a nawet niektórych świeckich — jest tak nieapetyczne, że dreszcz przechodzi na myśl, że on miałby rządzić Polską.

A wreszcie, jest to walka o praworządność. Ciągłe kolizje między sądami arcybiskupimi a sądami państwowymi, walki, w których kler chce narzucić sądom państwowym swoją supremację i swoją nietykalność; codzienne ograbianie wdów i sierot na zasadzie starych bulli papieskich, to są rzeczy nie do utrzymania. Nie żyjemy dziś w czasach Bolesława Śmiałego, ale też przez prostą delikatność episkopat nie powinien by nadużywać okoliczności, że prezydent Mościcki nie nosi miecza przy boku. Szanujemy duchowieństwo; ale z chwilą kiedy ono występuje jawnie przeciw naszym ustawom, przeciw naszemu wymiarowi prawa, wówczas staje się czynnikiem przeciwpństwowym, staje się szkodnikiem. Szanujemy kanony religii, dopóki pokrywają się z ludzką uczciwością; z chwilą gdy stają się jej zaprzeczeniem, gdy stają się źródłem demoralizacji, gdy utrwalają pojęcie nierówności ludzi wobec prawa, wobec Sakramentu, gdy stają się ustępliwym służką wobec bogaczy, nieubłagany katem dla maluczkich, wówczas jesteśmy pewni, że ktoś źle te kanony interpretuje, że ich piastunowie i tłumacze zeszli na bezdroża.

„Musimy dbać o to, aby Kościół nie przeciwdziałał kulturze społecznej i obyczajowej, by nie cofał ludu wstecz, w epokę barbarzyństwa, by go nie gubił i nie zatracił; a jeśli tego przeprowadzić nie zdołamy, musimy celowo i świadomie zdążać do osłabiania i neutralizowania wpływów Kościoła”... To nie ja mówię; to mówi... pani Iza Moszczeńska w dalszym ciągu cytowanego artykułu. I tym cytatem kończę: czy można było skończyć efektowniej?

Warszawa, luty 1929

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boy-dziewice-konsystorskie>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Dziewice konsystorskie*, wyd. Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Mieczysław Trautzel, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Dave Heuts@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0090-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.